

SZPLAJS

- Cześć Tomek! – Usłyszałem czyjś głos za plecami.

Skrecałem właśnie ku Firmie, do której miałem skierowanie do pracy i nie spodziewałem się nikogo znajomego. Wszystko tutaj było jeszcze dla mnie obce: otoczenie, ludzie i sprawy. Obróciłem się w kierunku mówiącego i zobaczyłem barczystego, nieco zarośniętego faceta. Uśmiechał się przyjaźnie, ale ja nie potrafiłem sobie go skojarzyć z nikim mi znanym. Wyciągnął do mnie solidną grabę. Nie kojarzyłem gościa, ale zachowałem się tak, jak bym go poznał.

- Cześć. Co tu robisz? – Zapytałem dla porządku.

- Jak to, co robię? – Spojrzał na mnie zdziwiony – pracuję przecież tutaj. Parę dni temu wróciliśmy z Georges Banku¹. Za tydzień wychodzimy.

- A na czym pływasz? – Zapytałem

- No to widzę, że mnie nie poznajesz. Heniu jestem. Byliśmy razem na *BRYNICY*. kiedy byłeś na praktyce. Ja dalej pływam na tym statku – pospiesznie wyjaśnił.

Teraz dopiero zaskoczyłem. – To był wielki Heniu, który tak mi pomógł w moich pierwszych krokach na prawdziwym rybackim statku. Szerokim gestem klepnąłem go w ramię i wylewnie wykrztusiłem:

- Ach tak! Teraz Ciebie kojarzę, Heniu!

- No widzisz. Wprawdzie od tamtego czasu się nie widzieliśmy, ale ja ciebie dobrze pamiętam. Wciąż palisz fajkę?

- Tak, chyba już tak zostania na zawsze.

Zeszliśmy na krawędź chodnika, aby nie tarasować przejścia i zaczęliśmy chaotyczne wspominki. Wyrzucaliśmy z siebie różne fragmenty wydarzeń, w których wspólnie uczestniczyliśmy tak na statku, jak i w angielskich portach, do których wówczas zawijaliśmy. W pewnym momencie Heniek przerwał wędrówkę po dawnych czasach i zapytał:

- A właściwie to co ty tu robisz?

- Jak to, co? – Skończyłem edukację i przyszedłem do pracy – tu pokazałem mu skierowanie, na którym w górnym rogu było odręcznie napisane „trawlerzy burtowe”.

Heniu niemal wyrwał mi z reki papier i przebiegł tekst szybko oczami. Oddając mi dokument, niemal krzyknął:

- Tomek! Z nieba nam spadłeś. Choć na *BRYNICĘ*, dobry statek, znakomicie zarobiliśmy ostatnio. Brakuje nam jednego „starszego” i ty byś na pewno do nas pasował. Jeden zszedł, bo zachorowała mu żona i musi się dziećmi zająć. Teraz latem będzie śledź, zarobimy, zobaczysz, że nie pożałujesz.

Uśmiechnąłem się do tej propozycji. Łatwiej jest zaczynać pracę na statku, na którym już się kiedyś było, wśród ludzi, których już w części się poznało, pośród których nie jest się zupełnym nowicjuszem. Podchwyciłem propozycję.

- Heniek, bardzo fajnie, tylko jak to teraz załatwić?

¹ *Georges Bank* – ryb. Łowisko u wybrzeży amerykańskich na Atlantyku

- Nic prostszego. Przy okienku, jak już będziesz miał podpisaną wszędzie obiegówkę, powiedz Wackowi, że *Stary z BRYNICY* chce żebyś z nim popłynął, a ja już wszystko z kapitanem obgadam. Leć załatwiaj do załogowego, a ja pędzę na statek.

Stałem jeszcze przez chwilę patrząc za oddalającym się w stronę nabrzeża Heńkiem. Przywoływałem z pamięci dni praktyki na pokładzie trawlera, na którym z nim pływałem.

Kiedy po południu stanąłem z kompletem niezbędnych papierów przed okienkiem załogowego, nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę zamustrować gdzie indziej niż na *BRYNICĘ*. Było bowiem w zwyczaju mustrowanie nowicjuszy na trawlerzy burtowe. W głębi duszy marzyły mi się duże trawlerzy rufowe, które chodziły już na dalekie wyprawy, ale przecież i burtowce żeglowały na drugą półkulę, za śledziem na Georges Bank. Burtowce zawijały często do portów, gdyż wciąż musiały uzupełniać paliwo, wodę, zaopatrzenie i raz w rejsie musiały wyczyścić kocioł, co zabierało sporo czasu. Nowy York, Halifax, południowe wyspy - to wszystko ciągnęło jak magnes. Zdawałem sobie sprawę, że jako nowicjusz w Firmie niewiele mam do powiedzenia i praktycznie żadnego wyboru. Mogłem mieć wprawdzie jakieś życzenia, ale mało prawdopodobne żeby z nimi się ktokolwiek liczył.

- Dobrze, że pan jest, czekałem na pana – zagadnął pan Wacek biorąc ode mnie książeczkę żeglarską i przyniesione inne papiery - jurto pan wychodzi w morze - kontynuował wypisując mi skierowanie na statek.

Zaskoczony tym, co usłyszałem, próbowałem protestować:

- Ale ja mam iść na *BRYNICĘ*, tam już rozmawiałem z kapitanem – skłamałem.

- Co, nie chce pan iść na przetwórnię? – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem pan Wacek.

- To nie mustruje na burtowiec? – Zapytałem nieco naiwnie.

- Nie. Mustruje pan na *NEPTUNA*², który jutro wychodzi w morze. Ma pan szczęście, wypadł nam jeden „starszy” i na pana padło załatanie dziury. Po książeczkę proszę zgłosić się o czternastej, a teraz niech pan gania po magazynach za przydziałowymi ciuchami.

Byłem tak oszołomiony tempem wydarzeń i nieoczekiwanym obrotem sprawy, że nic nie odpowiedziawszy, odszedłem od okienka. Ledwie przyjęty do pracy a już zamustrowany i to na trawler-przetwórnię, a nie na burtowiec, czego się spodziewałem. Jeszcze przed paroma godzinami widziałem się na *BRYNICY* a teraz jestem już członkiem załogi statku *NEPTUN* – ładna nazwa, pomyślałem. Może i dobrze się stało, ale jednak trochę żal mi się zrobiło Henia, który tak mile mnie wspominał.

Około trzeciej wszedłem po długim trapie na pokład brzydki, na szaro pomalowanego statku *NEPTUN*. Stałem pośrodku i postawiłem przy nodze nowiuteńki, wypchany roboczymi ciuchami worek marynarski. Rozejrzałem się dookoła z zaciekawieniem – wszystko, co tu zobaczyłem, widziałem po raz pierwszy w życiu. Nigdy przedtem nie byłem na takim statku. W okolicach windy trałowej spostrzegłem rybaka, który pewnie był wachtowym:

- Cześć! Zamustrowałem do was. Gdzie znajdzie *Pierwszego*?

² *NEPTUN* – ryb. GDY-303 trawler-przetwórnia typu B-15 należący do f-my DALMOR w Gdyni. 2325 BRT, 954 NRT, 1489 DWT, 85x13,8x5,4 m, 2400 KM.

Wachtowy, krępy, silnie zbudowany rybak, w śmiesznym, steranym mocno czasem kapeluszu, zanim odpowiedział, obejrzał mnie od góry do dołu i od dołu do góry.

- A ty za kogo tutaj? – Wycedził zaczepnie. – Mamy komplet – dodał patrząc podejrzliwie.

Nieco speszony wyciągnąłem ku niemu skierowanie. Nie wziął go do ręki a jedynie obrzucił spojrzeniem i wskazał mi korytarz po prawej burcie.

- Pierwsza kabina od dziobu, chyba jest u siebie.

Zostawiłem swój marynarski worek i ruszyłem długim korytarzem czytając tabliczki na drzwiach kabin. Nie wiem dlaczego, ale serce biło mi mocniej niż powinno. Zatrzymałem się przy ostatnich drzwiach, gdzie tabliczka głosiła „Chief mate”³. Zapukałem.

- Proszę... - usłyszałem po drugiej stronie.

Nacisnąłem klamkę i przekroczywszy próg stanąłem tuż za nim. Kabina była niewielka. Lewą stronę, do samych drzwi, zajmowała osłonięta kotarą koja. Pod dziobowym szotem⁴, tuż przy koi, stała sięgająca sufitu, wąska kabinowa szafka, przy niej biurko i narożna kanapka wokół niewielkiego okrągłego stolika. Przy samych drzwiach, po prawej, niewielka umywalka dopełniała wyposażenia. Mężczyzna siedzący przy biurku obrócił się w moją stronę i zlustrował starannie. Podałem mu papier, który mnie do niego kierował i czekałem na reakcję. Przeczytał i jakby do siebie, mruknął:

- A..., to za Tonaka... Dobrze. Niech pan idzie do intendenta i weźmie klucz od kabiny. Dziś jest pan wolny. Jutro o ósmej do pracy.

Pierwszy uznał rozmowę za skończoną i powrócił do rozłożonych na biurku papierów. Ja jednak nie wyszedłem i zapytałem nieśmiało:

- Panie *Pierwszy*, czy mógłbym się dowiedzieć jak z wyjściem?

Chief mate ponownie obrócił się ku mnie.

- Jutro powinna być tablica, chyba pojutrze wyjdziemy, a co, masz jakieś problemy.

- Widzi pan, ja mieszkam w Warszawie. Nie wiedziałem, że w dniu przyjęcia do pracy zaraz zamustruję i będę wychodził w morze. Chciałbym pożegnać się z żoną.

Zanim odparł, zlustrował mnie powtórnie wnikliwie i nad czymś rozmyślał. W końcu podjął decyzję:

- To ty zupełnie nowy jesteś..., pierwszy rejs po szkole ..., no dobra, potem się jakoś rozliczymy. Bądź na statku pojutrze o ósmej..., tylko się nie spóźnij, bo na pewno wyjdziemy w morze.

Z wyrzucanymi z siebie słowami podziękui wypadłem od niego jakbym bał się, że *Pierwszy* zmieni decyzję. Odnalazłem intendenta, otrzymałem klucz do kabiny i zainstalowałem się w swoim statkowym domu.

Kabina była niewielka i umeblowana standardowo: po lewej przy drzwiach dwie wysokie szafki i metrowe biurko; pod szotem prawej burty, gdzie był okrągły bulaj, znajdowała się krótka kanapka z bakistą⁵; prawą stronę kabiny, na całej jej szerokości, zajmowały piętrowo dwie koje. Przy drzwiach po prawej – w kierunku dziobu – do szotu wyjściowego była przymocowana niewielka umywalka. Spojrzałem na koje, z których dolna

³ *Chief mate* – ang. *Pierwszy (starszy) oficer pokładowy*

⁴ *Szot* – mor. Na statku ścianka, przepierzenie, burta wewnętrzna w kabynie, pomieszczeniu, ładowni.

⁵ *Bakista* – mor. Skrzynia na bagaże, rzeczy osobiste pod siedzeniem, kanapką, koja

była starannie zasłana, a na górnej złożona w kostkę pościel i już znałem swoje miejsce w tym pomieszczeniu. Nie wiedziałem, kto tu mieszka. Nazwisko, jakie podał mi intendent nic mi nie mówiło.

Wrzuciłem worek na koję i wyszedłem z kabiny. Krzyknąłem do wachtowego na pokładzie „cześć” i zbiegłem po trapie ze statku. Gdy odchodziłem spiesznie w kierunku bramy, kilkakrotnie się obróciłem aby przyjrzeć się mojemu statkowi. Pomalowany był szpetnie na szaro, ale rasowa sylwetka wielkiego rybackiego, przemysłowego trawlera wydała mi się piękna. To przecież pierwszy mój prawdziwy statek – o takim jeszcze w szkole marzyłem – kilka tysięcy ton i stu ludzi załogi! Jaki on będzie? Co mnie na nim czeka? Kiedy zakołysz się pode mną pokład? Jakaś dziwna duma rozpięła mnie od środka. Chciało mi się krzyczeć z radości. Co pomyśli *Fregata*, kiedy jej powiem gdzie zamustrowałem? W stronę „Domu Rybaka” niemal biegłem. Podskakiwałem jak mały chłopiec, który właśnie dostał na lody. Zabrałem swoje rzeczy z nędznego hotelowego pokoju i w chwilę potem wpadłem do popołudniowego ekspresu Gdynia-Warszawa.

Te parę godzin wleczenia się - mimo nazwy – pociągu, wypełniły mi marzenia, przewidywania, wymyślone obrazy z mojej przyszłej pracy, której przecież jeszcze nie znałem. Próbowałem sobie wyobrazić siebie wśród innych na pokładzie, przy sieciach, jak stoję za sterem tak dużego statku, jak pełnię wachtę „na oku” wśród gór lodowych i mgły. Na tym statku, który nazywał się *NEPTUN*, rozpoczynało się moje prawdziwe życie na Morzu, nieporównywalne do minionych dni na szkolnych statkach czy na praktykach. – Tu musiałeś już liczyć tylko na siebie i za siebie odpowiadać. To inny świat – świat naprawdę dorosłego człowieka. Teraz dopiero zarobię pierwsze prawdziwe pieniądze na nasz wspólny z *Fregatą* dom.

*

Kiedy już załoga ochłonęła po emocjach wyjścia z Gdyni, przejścia przez Sund i statkiem w końcu zaczął kołysać Atlantyk, rozpoczęły się normalne, morskie dni, w których rytm wyznaczały wachty, praca na pokładzie, regularne posiłki i niedługi czas wypoczynku. Szybko zintegrowałem się z załogą, która zrazu trochę nieufnie podchodziła do „studenta”, co to na statku zjawił się w dniu wyjścia w morze. Moim kabinowym towarzyszem – *szlafkumplem*, okazał się niemłody już Kaszub. Miał opinię bardzo solidnego rybaka, dobrego marynarza i fajnego kompana. Czas to potwierdził. Z Frankiem żyłem się bardzo szybko i mimo dużej różnicy wieku, zawsze mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Często mi opowiadał ze swadą dobrego gawędziarza różne historyjki z morskim morałem. Kreślił obrazy kapitanów i oficerów, z którymi pływał – takich co w szczególny sposób zapadli mu w pamięć. Ja natomiast zadawałem wciąż nowe pytania z morskiej fachowej wiedzy, której byłem złąkniony. Franek odpowiadał zawsze chętnie, w prosty, zrozumiały sposób, sprawdzając przy tym czy na pewno zrozumiałem, o co chodzi. Szybko między nami zawiązała się nić szczerzej sympatii. Staliśmy się naprawdę morskimi kumplami. – Chodziliśmy razem na posiłki, ja zajmowałem mu miejsce w kinie, robiliśmy sobie wspólnie picie – on kawę a ja herbatę. Pomagaliśmy sobie nawzajem w pracy na pokładzie – ja jemu swoją młodzieńczą siłą i energią, on mnie –

wiedzą i doświadczeniem. Podziwiałem jego szybkie ruchy przy siatce, jego biegłość w rozpoznawaniu jej elementów, potrzebnych redukcji i kryz przy montażu. Naładowany szkolną teorią byłem bezradny, gdy należało wziąć *klump* sieci w garść i wiedzieć, co się trzyma w reku i co z tym zrobić. Szybko się uczyłem. Rwałem się do kleszczki⁶. Pamiętałem przecież, że w szkolnej sieciarni zaliczałem się do najlepszych, że przekroczyłem trzy tysiące węzłów w godzinę, co uznano za znakomity wynik. Zauważyłem jak Franek z zadowoleniem obserwował moje poczynania. Moje ruchy stawały się coraz szybsze, pewniejsze i dokładniejsze. Czasem miło mi było, gdy mówił:

- No nieźle *Aniołeczku*, nieźle.

Zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że zamustrowałem tu na stanowisko „starszego rybaka”. Taki nie może powiedzieć, że czegoś nie umie – cała załoga by się z tego śmiała. Wielu ze starszych rybaków, takich już bardziej otrzaskanych ze statkiem i pływaniem, próbowało mnie niekiedy podpuszczać i sprawdzać czy to, czy tamto wiem. Bronilem się dobrze i szybko zaniechali tych praktyk, ale musiałem być wciąż czujny, żeby nie dać się wyprowadzić w maliny. Bywało – ratował mnie Franek, który dyskretnie mnie wciąż obserwował i zjawiał się zawsze w momentach, gdy go naprawdę potrzebowałem. Węzły, liny, sieci stały się moja pasją i byłem dumny z tego, że nie używano mnie do trzymania siatki jak praktykanta czy młodszego rybaka. Bosman, zwaliste niezbyt sympatyczne chłopisko, dawał mi zadania trudne, jakby chciał, żebym się potknął na czymś. Pewnie nie raz by tak było, ale Franek czuwał. Czasem słyszałam jak Franek przechodząc мимо, niby przez przypadek, rzucał ciche, niesłyszalne dla innych, pytanie:

- No jak tam *Aniołeczku*, dasz radę?

- Postaram się, chyba będzie ok. – Odpowiadałem zazwyczaj.

Franek zabierał się do roboty gdzieś w pobliżu tak, aby móc zerkać z daleka jak pracuję. Zdarzało się, że dolatywał do moich uszu, mnie tylko słyszalny syk i króciutka uwaga:

- Podchwyt, *Aniołeczku*, podchwyt, bo ci ucieknie i będziesz musiał pruć.

W kabinie często wracaliśmy w rozmowach do tego, co robiłem na pokładzie. Z dużą szczerością mówiłem mu, czego się boję, czego nie umiem, co chciałbym, żeby mi wytłumaczył. Przynosił czasem kawałek liny i pokazywał mi różne ciekawostki, triki i zagadki linowe – wydało się, że ma worek tego cały i to nie wiadomo czy z dnem. Odniosłem wrażenie, że traktuje mnie jak syna – przekazując tajniki swojego zawodu. Dzięki niemu szybko wyrobiłem sobie dobrą markę u przełożonych, którzy nie zauważali moich braków i wydawało im się, że moja Uczelnia tak dobrze przygotowała absolwenta do pracy.

*

Pewnego razu bosman Józef zawołał mnie do magazynku lin i wskazując na zwój stalówki powiedział:

⁶ **Kleszczka** – ryb. Drewniana igła sieciarska w kształcie czótenka, na którą nawija się rybacką przędzę do reperacji lub szycia sieci.

- Zrób no z tego trzymetrowe stropiki; ucha na końcach nieduże, takie po dwadzieścia centymetrów. Masz czas do obiadu. Druty przytnij na krótko, żeby nie wystawały.

Zataskałem zwój liny pod winę trałową, gdzie było zamontowane pokładowe imadło i zabrałem się do roboty. Zadanie nie wydawało się trudne. Miałem już na swoim koncie wykonanie bardzo wielu *szplajsów*⁷ na linie stalowej. W Szkole na sieciarni często urządaliśmy zawody na szybkość wykonania i elegancję *szplajsów*, które nierzadko wygrywałem. Mój instruktor sieciarstwa zawsze z mojej roboty był bardzo zadowolony. Przystąpiłem do pracy bez żadnego stresu i bardzo pewny siebie. Franek, jak zwykle, przydreptał do mnie i zapytał o robotę, ale dałem mu do zrozumienia, że nie musi się o nic martwić, że dla mnie to „małe piwo”.

Odwinałem sobie odpowiednią ilość liny z zapasem na oka, zawinałem je i *zbęclowałem*⁸. Rozplotłem końcówki i zrobiłem przepisowe opaski na ich końcach. Szło mi to dość zręcznie i szybko – byłem mentalnie i manualnie uzdolniony do „robotek ręcznych”. Bosman Józef kilkakrotnie przechodził obok i zerkał na to, co robię, ale widząc moją biegłość w rozpoczętej pracy przestał się mną interesować. Po pocięciu balotu liny na odpowiednie odcinki, zarobieniu końcówek i *zabęclowaniu* ok., zamocowałem pierwszy strop w imadle i założyłem oko na obrotowy hak przymocowany do szotu – to standardowy warsztat do robienia *szplajsów* na każdym rybackim statku. Rozkręciłem linę i wbiłem między pokrętki stalowy *marszpikiel*⁹. Nabiłem sobie fajkę, zawinałem rękawy flanelowej koszuli, włożyłem ponownie skórzane rękawice – potem z dużą swobodą i pewnością siebie przełożyłem przez linę trzy pierwsze pokrętki.

Gdy zacząłem jechać dalej, w pewnym momencie zauważyłem, że mój *szplajs* przybiera jakiś dziwny kształt – jest nierówny i garbaty. Poczułem wewnętrzny niepokój. Najpierw myślałem, że zbyt słabo ściągnąłem pokrętki. Zacząłem je wbijać do środka to *marszpikiem*, to znów młotkiem, ale rezultaty tych zabiegów były mizerne. W końcu musiałem przyznać przed samym sobą, że gdzieś zrobiłem coś źle. Ale gdzie? Pot wystąpił mi na czoło i zimny dreszcz mną wstrząsnął. Przebiegłem myślami wszystkie czynności w poszukiwaniu błędu i nie mogłem go dostrzec. Ogarnięty niespodziewaną paniką nie potrafiłem nic wymyślić.

Poszukałem oczami Franka, ale nie było go na pokładzie. Zdawałem sobie sprawę, że to niemała kompromitacja dla „starszego rybaka”, a dla mnie w szczególności. Widziałem już triumfujący uśmiech bosmana. Słyszałem w myśli jego złośliwe docinki i żarty, które szybko podchwyci cała załoga. Niewiele brakowało a byłbym się rozplakał. To porażka. Co robić? Spojrzałem na przygotowane do *szplajsowania* kolejne stropy. Nie wiedziałem, która godzina – na pokład zegarka nie nosiłem, ale wydawało mi się, że nie powinno być później jak dziesiąta.

Rozejrzałem się bacznie dookoła, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Błyskawicznie odkręciłem linę z imadła, zdjąłem z haka i zwinawszy w

⁷ *Szplajs* – ryb. mar. – splot na linie stalowej lub włókiennej, łączący liny lub dla wykonania oka.

⁸ *Zbęclować* – ryb. – związać, omotać

⁹ *Marszpikiel* – ryb. – stożkowy rożek do prac linowych, w zależności od rodzaju liny może być stalowy lub drewniany

krażek, szybko wcisnąłem go pod greting¹⁰ windy trałowej. Równie szybko zamocowałem kolejny strop, rozkręciłem i wbilem weń *marszpikelem*. Rybackim nożem, zdecydowanym ruchem przeciąłem sobie opuszek lewego kciuka. Skaleczenie, mimo że powierzchowne, obficie krwawiło. Zawinałem kciuk chusteczką i rozpocząłem *szplajsovanie* od początku.

Teraz oprzytomniałem – w poprzednim stropie pierwsze przeplecenie zrobiłem z odwrotnej strony niż powinienem. Szybko przewlokłem prawidłowo pokrętki, ściągnąłem je starannie i gdy z pokładu w moją stronę zbliżał się bosman, kończyłem pierwsze oko.

- No i co? Jak ci idzie? – Zapytał bosman, przyglądając się wnikliwie mojej robocie – Dopiero pierwsze oko? – Zdziwił się - Nie wyrobisz do obiadu.

- Szłoby szybciej bosman, ale zarznąłem się w palec przy robieniu opasek. Za ostry nóż mam – demonstracyjnie odwinałem krwawiący kciuk.

- O, cholera?! Idź do lekarza, niech opatrzy, bo jeszcze, jakiego zakażenia dostaniesz. – Zmartwił się nie na żarty Józef.

- E..., to głupstwo. Do obiadu wyrobię.

Energicznym ruchem zluzowałem z imadła strop i obróciwszy go zamocowałem ponownie dla zrobienia oka z drugiej strony. Bosman podniósł skończone oko z pokładu i zaczął starannie oglądać. Ledwie dosłyszałem jak mruczał pod nosem...

- Nooo..., noo..., całkiem, całkiem. Głupi ze szkoły nie przyszedłeś. Tylko wyrób do obiadu. Nieźle, ale zbyt długo to robisz.

Serce mi załomotało gwałtowniej, kiedy dostrzegłem, że wyrzucony, źle zrobiony strop, był nieco widoczny pod gretingiem od strony pokładu. Przesunąłem się tak, aby choć trochę zasłonić trefne miejsce przed bosmanem i zacząłem wywijać szeroko *marszpikelem* i pokrętkami. Chciałem sprowokować bosmana do odejścia.

- Ej! Co ty! Nie wywijaj tak, nie musisz się przede mną popisywać, jeszcze mi oczy wydlubiesz... - podniósł ręce w obronnym geście do twarzy. Gdy zasłonił twarz kopnąłem wystający strop głębiej pod greting. Kiedy bosman odszedł wróciła mi równowaga ducha i robota poszła już gładko. Do obiadu wykonałem cztery piękne oka i z triumfem zaniósłem dwa stropy bosmanowi. Był nieco zaskoczony, ale z aprobatą pokiwał głową mówiąc:

- Noo..., noo.... Nie myślałem, że dasz radę dwa zrobić z tym skaleczonym palcem.

*

Wieczorem w kabinie, Franek zagadnął mnie znienacka:

- Co tam z tymi szplajсами było? – Jego przenikliwe oczy tak świdrowały mnie na wylot, że płatał mi się język.

- A co miało być...? Nic, nic, wszystko OK. Bosman myślał, że nie będę umiał i nie wyrobię się do obiadu, ale poszło dobrze - odparłem niemal zaczepnie.

- Takie cztery szplajсы na cienkiej linii można było w połowę tego czasu zrobić – rzucił w moją stronę jakby z wyrzutem Franek.

¹⁰ **Greting** – mor. – tu, kratownica stalowa lub drewniana ułożona na stopkach nad pokładem, tak aby woda nie zalewała nóg stojącemu przy windzie trałowej.

- Nie szło mi skoro, bo się skaleczyłem.

Czułem, że mi nie wierzy. Spoglądał na mnie jakoś dziwnie. Nie wiem, co tam się mogło wydarzyć. Może dostrzegał mój niepokój, który był widoczny aż do zmroku i zejścia wszystkich rybaków z pokładu. Nie ciągnął jednak tematu zauważywszy, że jest on mi niemiły. Przed północą nie położyłem się do koi jak zwykle, ale siedziałem na kanapie czytając Joyce'a.

- Kładź się spać *Aniołeczku*. Jutro będziemy już na łowisku i skończy się ta sielanka, na spanie nie będzie wiele czasu, *Aniołeczku*.

- Trochę mi żołądek dokucza i czekam aż mi wzbierze – skłamałem.

Gdy wydawało się, że Franek już zasnął, po cichutku wymknąłem się z kabiny. Nikłe światła spod windy rzucały niewiele blasku na zawalony sprzętem pokład. Przeszedłem się w stronę slipu i z powrotem, aby sprawdzić, czy nikt po pokładzie się nie płacze. Stanąłem przy windzie, *fuksztokiem*¹¹ wygrzebałem pod gretingiem nieszczęsny garbaty strop. Gdy go już chwyciłem, szybko, niemal biegnąc, znalazłem się przy burcie. Zamaszystym ruchem cisnąłem świadectwo swego blamażu daleko w wody Atlantyku. Gdy usłyszałem plusk odetchnąłem głęboko z ulgą. Dowód rzeczowy mojego błędu w zejmańskiej sztuce przestał na statku istnieć. Głęboko wdychałem rześkie powietrze oceanu, w który jutro wyrzucimy sieć. Teraz mogłem już pójść spać, pewien że nie będą mnie męczyć koszmary. Obróciłem się w kierunku dziobu i ..., zamarłem w bezruchu.

Na środku pokładu, na jednej z bobin¹² zestawu przygotowanego do wydania, siedziała jakaś postać. To niemożliwe! Tu nikogo nie było! Przecież sprawdziłem to dokładnie. Powoli rozpoznawałem sylwetkę. To był Franek. Usiadłem obok na sąsiedniej bobinie. Milczeliśmy czas jakiś. Spytać wprost nie mogłem, ale niepewność nie dawała mi spokoju.

- A co ciebie wyciągnęło z koi? Przecież już spałeś...- zagadnałem.

- Ech..., nie mogłem zasnąć. Jutro pierwszy dzień połowów, zawsze mi przed tym dniem spanie nie wychodzi.

Trudno było w jego wymówkę uwierzyć. Był zbyt starym i doświadczonym rybakiem. To raczej ja mógłbym się tak tłumaczyć. Przecież nazajutrz będzie moje pierwsze wydawanie sieci na dużym przemysłowym trawlerze.

Miał na sobie zarzuconą rozchełstaną flanelową koszulę, niedopięte drelichowe spodnie i niepozapinane na klamry sandały na bosych stopach. Wyglądał tak, jakby opuściłabinę w pośpiechu. Wyciągnął papierosy, szklaną firkę, której zawsze używał i zapalił. Puścił duży kłęb dymu a dopiero potem, następnym dymem, zaciągnął się głęboko. Wziąłem z jego rąk zapalnik, nabiłem swoją fajkę i podпалиłem. Po którymś dymie, jakby od niechcenia, Franek powiedział:

- Nie martw się *Aniołeczku*, mnie też się takie coś kiedyś przytrafiło. Nie martw się, ty umiesz o wiele więcej niż niejeden z tych, co lata pływają.

W tonacji tego, co powiedział nie czułem nagany, a raczej chęć pocieszenia, nauki i podparcia w mojej wewnętrznej ambicjonalnej walce z samym sobą. Jedno było pewne, że wiedział, co zrobiłem, ale jednocześnie aprobował moje w tym wypadku postępowanie. Zostałem przecież

¹¹ **Fuksztok** – ryb. – drewniana metrówka do mierzenia długości lin

¹² **Bobina** – ryb. – kuliste toczysko do obciążania liny dolnej sieci (włoka)

zamustrowany, jako „starszy rybak” i nie mogłem sobie pozwolić na ośmieszenie się wśród stuosobowej załogi.

Było chłodno, ale żadnemu z nas to nie przeszkadzało. Siedzieliśmy nic nie mówiąc. Zeszliśmy do kabiny dopiero wówczas, kiedy ja skończyłem palić fajkę.

* * *